


P r a g n i e n i e



m i ł o ś c i



Jak się chce wcielić
List do Koryntian
w konkretne życie,
to wychodzi kompletne
fiasko

• Z REŻYSERKĄ
MAJĄ KLECZEWSKĄ
ROZMAWIA ROMAN PAWŁOWSKI

Prawie wszystkie Pani przedstawienia opowiadają o miłości, lecz z reguły jest to miłość złamana, śmiertelnie chora. „Miłość jest kłutwą straszłą” – mówi chór w „Medei” Eurypidesa, którą reżyseruje Pani w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku. Miłość jest kłutwą?

• Strasznie dużo od tego uczucia oczekujemy. Spodziewamy się, że miłość nas uświęci. Otworzy dostęp do obszaru boskiego. Tymczasem miłość to jedna z tych dróg, na których się najczęściej potykamy. Kiedy miłość w końcu znajduje swój obiekt, który zawodzi, rani, ucieka, zdradza, jest nieprzewidywalny, to wtedy z człowiekiem dzieje się coś porażającego. Pisał o tym Roland Barthes, kiedy porównał odrzuconego kochanka do więźnia obozu Dachau.

Dlatego nie pokazuję w teatrze lukrowanego obrazka na walentynki, wołę dotykać miejsc bolesnych. Bo może w ten sposób teatr pobudzi tęsknotę za miłością przez doświadczenie jej braku. To, czego nie ma na scenie, powinno obudzić się w widzu.

W „Makbecie” żona próbuje odbudować małżeństwo za pomocą wspólnie dokonanej zbrodni.

W „Woyzecku” zazdrosny mąż doprowadzony do ostateczności zabija żonę. Czy naprawdę uważa Pani, że to obudzi w widzach tęsknotę za miłością?

• W obu sztukach jest wielkie pragnienie miłości, które zostaje skonfrontowane z ludzką słabością. W „Makbecie” jest problem miłości uspiionej, pogrążonej w letargu. Żeby ją obudzić i znów odczuwać, potrzebna jest ofiara, która pobudzi wspólnotę związku.

W „Woyzecku” jest tęsknota za miłością absolutną. Woyzeck stawia miłość na piedestale i nie może pogodzić się z tym, że zostaje skażona. Miłość jest dostępem do Boga, dlatego tak trudno zaakceptować brud.

Fedra, bohaterka tragedii Racine’a, traktuje miłość jak obłęd. Mówi do swego pasierba: „Ujawnię ci moje szaleństwo: Kocham”.

• Właśnie, co zrobić z uczuciem, które jest nie do opanowania, które człowieka całkowicie przenika i ma taką moc, że niszczy wszelkie racje, struktury, cały porządek, całe dotychczasowe życie, wszystkie kryteria moralne? Gdyby ktoś powiedział Medei, że zabije swoje dzieci, nie uwierzyłaby. Bo je bardzo kochała. Jednak miłość do mężczyzny okazuje się w jej przypadku silniejsza od miłości do dzieci.

FOT. BARTŁOJEW SOWA

Rozumie Pani Medeę?

• Dzieci są owocem miłości. Skoro nie ma miłości, to nie ma owocu. Medea odmawia racji bytu temu, co już zostało pogrzebane. Ten rytualny gest powtarzają wszystkie współczesne Medee. Mówię o kobietach w depresji, porzuconych, bez środków do życia, które sięgają po ostateczne rozwiązania. Przygotowując się do prób, przeczytałam gdzieś informację o kobiecie, która położyła się na torach z synkiem i czekała na pociąg. Jak wielka musi być desperacja, aby leżeć na torach i czekać na śmierć? Medea jest w sytuacji bez wyjścia: kiedy odkrywa zdradę, nie może pozostać w domu Jazona, nie ma też powrotu do rodzinnej Kolchidy. Jest skazana na banicję. Zabija dzieci również dlatego, że nie może im zapewnić żadnej przyszłości. Jak wilczyca, która dobija chore potomstwo.

Aktorkę do roli Medei – Natę Murvanadze – znalazła Pani w Gruzji, skąd pochodziła mityczna czarodziejka.

• Pochodzenie Medei ma ogromne znaczenie dla mitu.

Obrońcy moralności w teatrze pytają, po co się nurczą w tym brudzie.

• Nie możemy zamknąć okien i drzwi i zadowoleni włączyć „M jak miłość”. Mamy obowiązek brać odpowiedzialność za cały świat. Być może nigdy nie zrozumiemy, dlaczego jacyś ludzie się w sobie zakochują, a inni nie, dlaczego ludzie się zdradzają. Nie wiemy, dlaczego tego doświadczamy i jaka z tego płynie nauka. Ale musimy zadawać pytania.

W Pani najnowszym przedstawieniu – „Śnie nocy letniej” Szekspira – młodzi ludzie nie potrafią wytrwać w związku nawet pięciu minut. Czy lęk przed miłością rozumianą jako całkowite oddanie się drugiemu człowiekowi jest znakiem naszych czasów?

• Eurypides, Szekspir, Racine pokazują, że ten problem towarzyszy człowiekowi od wieków. Ale zmiany w kulturze i obyczajowości mają niewątpliwie wpływ na spotęgowanie tego lęku. Możliwość wyrażania uczuć wprost,



Medea jest obca. Brak oparcia w rodzinie, brak zakorzenienia w kulturze potęgują jej desperację. Za tym kryje się moje marzenie o pracy z aktorami z innych kultur. Brakuje mi inności, innego koloru skóry, innej energii, wrażliwości, estetyki. W Polsce istnieje absurdalny lęk przed innymi, chciałabym go przelamać.

W jakim języku będzie mówić Medea?

• Po polsku, z akcentem.

W Pani pierwszym przedstawieniu – monodramie „Jordan” – bohaterką też była kobieta, która zabiła dziecko, bo życie postawiło ją pod ścianą. Miłość usprawiedliwia wszelkie zło?

• W trakcie prób rozmawialiśmy z kobietami odsiadującymi wyroki, bo akcja sztuki rozgrywa się w celi. Kobiety powiedziały mi, że dzieciobójczyni jest w więzieniu traktowana najgorzej. Ale kiedy przyszły na spektakl, zmieniły zdanie. Teatr pozwala głębiej wejrzeć, daje w ten sposób możliwość zrozumienia i usprawiedliwienia.

Nie obawia się Pani relatywizmu? Czy bohaterkę „Jordana” usprawiedliwia to, że jest bezbronną, manipulowaną przez mężczyzn kobietą?

Dlaczego mamy jej wybaczyć?

• Nie chodzi o wybaczenie, tylko o pokazanie na scenie sytuacji, które mogą prowadzić do patologii. Może uda się w ten sposób wyeliminować je z naszego życia.

Od lewej:
„Czy nie dobija się koni?”,
Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego w Wałbrzychu, 1 lutego 2004 r.

„Makbet”,
Teatr im. Jana Kochanowskiego w Opolu, 3 grudnia 2004 r.

Próba spektaklu „Sen nocy letniej”,
Stary Teatr w Krakowie, 10 lutego 2006 r.

łatwe rozwydwy, tolerancja na utrzymywanie kilku związków naraz, zakłamanie: mam męża czy żonę od czterdziestu lat i udaję, że cudownie nam się żyje, a piekło domowe trwa – to ma wpływ na stosunek do miłości. Prawdziwą rewolucję przyniósł internet, który daje niebotyczny dostęp do potencjalnych partnerów. Kiedyś człowiek, o ile nie podróżował, miał do dyspozycji kilkunastu kandydatów. Teraz wchodzi się do internetu, a tam czekają setki tysięcy ofert ludzi gotowych stworzyć związek. Ze zdjęciami, z tęsknotami i obowiązkowym hobby.

Zwolennicy takich stron powiedzą, że one pomagają odnaleźć drugą połowę. Wyszukiwarka znajdzie partnerów o określonych kryteriach. Powiedzmy: niepalący kawaler, 170 cm wzrostu, lubi konie, w wolnym czasie uprawia orchidee. Bingo!

• To może doprowadzić do obłędu! Takich partnerów są setki, zawsze pojawia się pytanie: czy wybierając tego, nie tracę kogoś, kto może przynieść mi jeszcze większe szczęście w miłości?

Czy podobna obawa nie towarzyszy kupowaniu?

• Tak, co chwila pojawia się nowy, lepszy model pralki, samochodu, który może zaspokoić nasze potrzeby lepiej niż ten, który posiadamy. Tak przynajmniej nam się wydaje. Powstają całe strategie doboru partnera idealnego. Kolorowe pisma publikują listy kryteriów. Jeśli twój partner ich nie spełnia, jest zalecenie: wymień

FOT. BARTŁOJEWI SOWA, RAFAŁ MIELNIK

go na lepszy model. Rządzi ego, bo przecież to partner ma zaspokoić nasze pragnienia, a nie my jego. Jedynym kryterium jest moja prawda.

Psychoanalityk powiedziałby, że to dobrze, bo ludzie wyrażają siebie. Mają odwagę mówienia „nie”.

- Ale asertywność w uczuciach sprawia, że człowiek zostaje pozbawiony filtra ochronnego, bariery bezpieczeństwa. Ludzie wzajemnie się okaleczają. Przeróżne małżeństwa, które znam, rozpadają się w surrealistyczny sposób: kochałem, kochałem i nagle przestałem kochać, więc odchodzę. I już. To najbliższa przemoc.

Co można z tym zrobić?

- Jedyną drogą jest uświadomienie, co oznaczają słowa: już cię nie kocham. Że takie zdanie okalecza drugą osobę w stopniu nieobliczalnym. Niekiedy do końca życia, bo nie wszyscy sobie z tym radzą. Niektórzy popełniają samobójstwo.

W Pani przedstawieniach często pojawiają się postaci o nieokreślonej tożsamości seksualnej – drag queen, transseksualiści.

- Chcę za ich pomocą pokazać dążenie do przekroczenia płci, coraz silniejsze we współczesnej kulturze. Chodzi o to, żeby już nie łączyć się w pary i nie płodzić potomstwa, bo i tak już jest strasznie dużo ludzi na Ziemi.

Czy ucieczka od płci rozwiązuje problem?

W Pani przedstawieniu Puk, który szuka pociechy a to w ramionach Tytanii, a to w ramionach Oberona, w finale zostaje sam z nadmuchiwaną lalką z sex shopu.

- Puk to postać tragiczna, nie on manipuluje partnerami, to oni go stwarzają. Jest jak figurka z plasteliny, służy każdemu. Zostaje z lalką, tylko ona go nie oszukuje.

Dopisała Pani do „Snu nocy letniej” zakończenie, w którym Puk, zamiast przeproszać widzów, wypowiada fragment małżeńskiej przysięgi: „...i że cię nie opuszczę aż do śmierci”.

- W tej przysiędze jest jakaś szansa. Ludzie od wieków ją wypowiadają jak zaklęcie. Mają nadzieję, że stanie się cud. Różnie z tym bywa, ale w momencie, kiedy człowiek ją wypowiada, wierzy w siłę rytuału. A to jest heroiczny czyn, bo wiemy, że akt całkowitego oddania drugiemu jest niemożliwy. Jest ponad nasze siły, dlatego jest taki piękny. Jak mówi Szekspir, miłość to ślepy, dziki Amor. Kompletnie nieprzewidywalny. Nie wiemy, w jakim momencie Amor wypuszcza strzałę. Przysięgamy tak, jakbyśmy sądzili, że mamy na to wpływ, a nie mamy.

Jednak Pani wzięła ślub mimo ostrzeżeń klasyków.

- To było rok temu. Bardzo osobliwe doświadczenie. Zastanawiam się sama, jaką moc ma przysięga małżeńska. „Aż do śmierci” – to przecież z perspektywy człowieka cała wieczność. Wszystko, czym dysponujemy.

Może dlatego wielu wybiera dziś związek bez przysięgi.

- W niewypowiedaniu przysięgi jest unik. Furtka, która powoduje, że miłości nie doświadcza się w pełni. Wierzę raczej Zygmuntowi Baumanowi, który w książce „Ra-

zem osobno” proponuje, aby podjąć to ryzyko. Związek przypieczonej przysięgi jest jak podróż na inny kontynent bez biletu powrotnego. Trzeba tam pojechać, bo tylko tak możemy dowiedzieć się czegoś o sobie.

Kim jest Pani mąż?

- Aktorem i kolarzem. Nazywa się Piotr Kondrat.

Kolarzem?

- Tak, uprawia kolarstwo. Ostatnio zajął trzecie miejsce w 200-kilometrowym wyścigu w czeskiej Opawie. Właśnie w związku z przysięgą małżeńską zaczęłam z nim jeździć na rowerze. Jeździmy w okolicach Wałbrzycha, gdzie Piotr występuje w teatrze, po Warszawie i na Mazurach.

Chyba ciężko jest nadążyć za profesjonalistą?

- Rzeczywiście to jest wyzwanie, ale mąż daje mi szansę.

Czy grał u Pani w przedstawieniach?

- Tylko w „Locie nad kukułczym gniazdem” w Wałbrzychu.

Dlaczego?

- Spróbowaliśmy raz i postanowiliśmy nie kontynuować. Relacja z aktorem jest intensywna i krótkotrwała, ale bezwzględna. To inny rodzaj partnerstwa niż w związku. Reżyser ma dostęp do obszarów, do jakich na co dzień nie ma się dostępu. Nie sposób oddzielić, co jest życiem prywatnym, a co zawodowym.

Może nie chce Pani pracować z mężem z obawy przed utratą reżyserskiego autorytetu?

- To także. W ogóle unikam pracy z małżeństwami czy parami. Może się pojawić na przykład rywalizacja między partnerami przeniesiona na scenę z domu, co będzie stało w sprzeczności z tym, co jest do zagrania. To wymieszanie życia prywatnego ze scenicznym na ogół nie wychodzi spektaklowi na dobre.

Czy krakowski „Sen nocy letniej” był odpowiedzią na Pani małżeństwo?

- Gdybym nie miała za sobą przysięgi małżeńskiej, pewnie nie umieściłabym jej w finale spektaklu. Nie roztrząsam prywatnego życia na scenie. Ale oczywiście momenty własnych inicjacji wpływają na odczytanie jakichś tekstów. Studiowanie psychologii dało mi na przykład dostęp do „Lotu nad kukułczym gniazdem”. Inaczej nie miałabym odwagi zrobić przedstawienia o ludziach psychicznie chorych. Z tego powodu niektóre tematy są dla mnie na razie zamknięte. Trudno jest w wieku 30 lat zrozumieć Raniewską czy Sieriebriakowa. Jeszcze nie dojrzałam do „Wiśniowego sadu” czy „Wujaszka Wani”.

Bohaterowie Pani przedstawienia po nocy spędzonej w klubie siadają do weselnego stołu. Przed chwilą zdradzali, ponizali. Teraz szykują się do ślubu. Nie ma fałszu w tym rzekomo szczęśliwym zakończeniu?

- Nie wiemy, jak każda z par poradzi sobie z doświadczeniem tej nocy. Może przeżyją oczyszczenie? Może



Podczas próby nie mogę dopuścić, aby stać się po prostu żoną. W ogóle unikam pracy na scenie z małżeństwami czy parami

uczucie wróci? Taki cud może się zdarzyć, trzeba zaufać.

To może raczej ma Kościół, gdy narzuca ograniczenia obyczajowe, tłumi sferę seksualną, wydobywa aspekt przedłużenia gatunku jako podstawy związku.

Może wszystko, o czym Pani mówi, jest głosem za etyką chrześcijańską?

- Z rygoru i tłumienia nic dobrego nie wynika. Uczucia zepchnięte, przydeptane wybuchają ze zdwojoną siłą. W książce Clarissy Pinkoli Estés „Biegająca z wilkami” opisany jest niesamowity przypadek kobiety, która chciała bywać w wielkich miastach, nosić piękne kapelusze, oglądać wystawy, a wyszła za farmera i spędziła całe życie na wsi. Miała dużo dzieci i czyściła podłogi. Pewnego dnia założyła najpiękniejszą sukienkę, umyła wszystkie podłogi i zastrzeliła się ze strzelby męża. To był efekt 30 lat tłumienia pragnień.

Dla Kościoła będzie pewnie ważne, że urodziła dzieci.

- Ale za jaką cenę? Jak będą te dzieci żyć z piętnem samobójstwa matki? Co to będzie za rodzina?

Czy idea miłości chrześcijańskiej, o której pisze

św. Paweł, nie jest alternatywą dla miłości

egoistycznej? Miłość, która „nie zazdrości, nie szuka

poklasku, nie unosi się pychą; nie dopuszcza się

bezwstydu, nie szuka swego”.

- Uczucie, o którym jest mowa w Liście do Koryntian, to miłość absolutna, która realizuje się jedynie w relacji z Bogiem. Jak się chce List do Koryntian wcielić w konkretne życie, to wychodzi kompletne fiasko. Bo relacja między człowiekiem i człowiekiem odbywa się na innym poziomie miłości. Ale Kościół o tym nie mówi, tylko na zasadzie dogmatów wskazuje, co wolno, a czego nie. Człowiek nie chce już tak żyć. Ludzie w ogóle przestają przyjmować coś a priori, chcą świadomie kształtować swoje życie, a nie zawierzać go jakiejś instytucji. Bo to oni muszą przeżyć swoje życie, a nie ich proboszcz.

To co w takim razie ratuje miłość?

- Wierzę, że człowiek przez kolejne zawody miłosne może dojść do takiego rodzaju miłości, o której pisał Erich Fromm. Miłości, która jest nie tyle uczuciem, ile zaangażowaniem w świat. Skoncentrowana jest nie na braniu, ale na dawaniu. Istnieje bez względu na to, czy partner spełnia nasze oczekiwania, czy nie spełnia.

Wierzy Pani w istnienie takiego idealnego uczucia?

- Spotkałam wiele osób, które go dostąpiły. Byli to z reguły ludzie starsi, dojrzałsi. Przeczuwam, że na horyzoncie coś takiego jest możliwe.

Trzeba by napisać nowy List do Koryntian.

- Może. Ważne jest, żeby ludzie przestali się obwiniać, kiedy spotyka ich zawód miłosny. Osoba, która tego doświadcza, wpisuje się w historię całej ludzkości. To jest dzikie, nieposkromione i destrukcyjne uczucie. I nie ma przed nim żadnej obrony poza tym, żeby tego doświadczyć. W życiu albo w teatrze.



Maja Kleczewska

Dla bohaterów spektakli Mai Kleczewskiej nawet plekło byłoby za chłodne



PARA MORDERCÓW pnących się do władzy po trupach w „Makbecie”, wojskowy fryzjer, który z zazdrości zabija żonę w „Woyzecku”, matka, która uśmierciła dziecko w „Jordanie”. – Jeżeli w dramacie nie następuje zbrodnia, nie dotyka się natury człowieka. Nie ma sensu robić teatru, jeżeli człowiek nie rozprawia się ze złem – mówi Kleczewska.

Chciała zostać psychoterapeutą, ale zrezygnowała ze studiów. Na uczelniach oblegana była psychologia społeczna wykorzystywana w polityce i reklamie, jednak Kleczewskiej nie interesowało manipulowanie potrzebami i pragnieniami ludzi. Chciała dowiedzieć się o człowieku

więcej niż tylko tego, jakie woli mydło. Taką możliwość dawał teatr. Z warszawskiej Akademii Teatralnej na trzecim roku wyleciała za nie-subordynację. Chciała więcej zajęć praktycznych, bojkotowała teorię. Już na pierwszym roku jeden z profesorów powiedział jej, że to nie jest zawód dla kobiety.

Przeniosła się do krakowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, gdzie trafiła pod opiekę wybitnych pedagogów i artystów – Krystiana Lupy i Mikołaja Grabowskiego.

ZACZYNAŁA od sztuk o kobietach, ale specyficznych. Debiutowała w Krakowie w 2000 r. monodramem „Jordan” Moiry Buffini i Anny Reynolds – opartą na faktach historią dziewczyny, która pod presją otoczenia zabiła swoje dziecko. Później była „Elektra” Hugona von Hofmannsthal w Jeleniej Górze – portret opętanej nienawiścią córki, która zabija matkę.

W Wałbrzychu zrealizowała przedstawienia oparte na głośnych amerykańskich powieściach – „Lot nad kukulczym gniazdem” i „Czyż nie dobija się koni?”. Oba osadzone w polskich realiach mówiły o życiu na skraju ekonomicznej i moralnej przepaści, jakie doskonale znają mieszkańcy Wałbrzycha. Paradoksalnie, za sprawą przedstawień Kleczewskiej wizerunek górniczego miasta zaczął się zmieniać. Stało się znane nie tylko z biedaszybów, ale i z teatru.

PODCZAS PRÓB „Jordana” jeździła do kobiecego więzienia. Kiedy pracowała nad „Lotem...”, zawiozła aktorów do szpitala psychiatrycznego w Ustroniu Śląskim. Maciej Wojdyła grający McMurphy’ego deklamował z pacjentami wiersze, śpiewał i rozkręcał imprezy dokładnie tak, jak to robi bohater powieści Kena Keseya.

W „Czyż nie dobija się koni?” do ról tancerzy Kleczewska zaangażowała mieszkańców Wałbrzycha. Historia morderczego konkursu tańca, którego uczestnicy walczą o lepsze życie, była odbiciem ich własnych marzeń. W Jeleniej Górze do „Czajki” Czechowa w charakterze statystów zatrudniła miejscowych emerytów, a sztukę umieściła w realiach sanatorium. Podczas pracy nad „Makbe-

tem” posłużyła się zaś dokumentalnym serialem „Alfabet mafii”. W świecie polskich gangsterów zobaczyła odbicie szekspirowskiej tragedii, w której po władzę idzie się po trupach.

33-LETNIA REŻYSERKA w kilku miastach uznawana jest za skandalistkę i deprawatorkę młodzieży. Stawia na baczność oddziały przywoitek i moherowych moralistów. W Opolu lokalna prasa chciała zakazać młodzieży wstępu na „Makbeta”, którego akcję Kleczewska umieściła w środowisku współczesnej mafii. Najwięcej kontrowersji wywołało obsadzenie w rolach Wiedźm przebranych za kobiety umalowanych mężczyzn. To, że chodzi o historię wielokrotnego mordercy, jakoś nikomu nie przeszkadzało. W Kaliszu protesty wywołał „Woyzeck”, z którego reżyserka wydobyla temat hipokryzji prowincjonalnego miasteczka. Jego mieszkańcy po cichu akceptują seksualne wybryki elity, ale publicznie piętnują romans mężatki. Lokalna prasa ostrzegala „nadwrażliwych czytelników” przed pójściem na to „studium patologii”. Spektakl dostał główną nagrodę tegorocznego festiwalu Interpretacje w Katowicach – Laur Konrada oraz nagrodę dziennikarzy.

Jej niedawna premiera – „Sen nocy letniej” – budzi w Krakowie nie mniejsze emocje. „W oparach burdelu”, „Szekspir z porno szopu” – tytuły recenzji mówią same za siebie. Jednak na przedstawieniach w Teatrze Kameralnym ludzie stoją, bo takiej inscenizacji Szekspira nie było w Krakowie od lat. Z akcją rozgrywającą się w nocnym klubie, z piosenkami Madonny w tle i historią młodych kochanków, których uczucia są przedmiotem cynicznego handlu i manipulacji.

Jej następne wyzwanie – po „Medei” – to „Fedra” w Narodowym. Czy rośnie talent na miarę Krzysztofa Warlikowskiego?

• ROMAN PAWŁOWSKI